



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



PRZEWODNICY EGIPSCY.

Ze wspomnień podróży do Egiptu.

Niebo czyste, jasne, słoneczne, wybrzeża oświetlone gorącym światłem, wśród nich płynie szybkim nurtem szeroka rzeka, na niej dwa wielkie, płaskie czołna uwiązane przy piaszczystej ławie, w około hałaśliwy tłum krajowców i długi szereg podróżnych,

zdążających na osłach ku pagórkom. Kto raz był w Egipcie czyż nie pozna w tym dorywczym szkicu widoku tam zwyczajnego? W owej krainie osłów, wycieczek i zwalisk, jak ją ktoś nazwał.

Wesołe towarzystwo wyjeżdżające na nową wycieczkę w precudny poranek marcowy, od trzech miesięcy zwiedzało już tak gromadnie: liczne groby, świątynie i bazyry egipskie. Wesołości wędrowców nie zachmurzała smutna myśl, iż po-

dróż ich po Nilu miała się ku końcowi i że była to prawdopodobnie ostatnia wycieczka, którą odbywali wspólnie wszyscy. Było ich dziesięć osób, a zamieszkiwali dwa statki stojące na brzegu: *Ibis* i *Karnak*. Zimą przepędzili na Nilu i w powrotnej podróży dopłynęli już do Beni Hassan, o 37 mil od Kairu; teraz mieli zwiedzać sławne groby królewskie. Pokrewieństwo łączyło ich wszystkich. Pan N. znakomity archeolog towarzyszył siostrzenicy, piętnastoletniej Marysi i młodszemu jej bratu Henrysiowi, który miał lat dziesięć, gdy matka ich, jak zwykle, z powodu delikatnego zdrowia, została na Ibisie. Mieszkańcy *Karnaku*, krewni ich: pp. R. oboje dobrej tuszy, drżący na myśl, że słabe osiołki upadną pod ich ciężarem, z dziećmi, Albiną, Edwardem i Magdaleną, (lat osnaście, szesnaście i piętnaście) tworzyli jeden orszak, który zamykał zwinny, z głową okręconą białym zawojem drogman *) Ali, jadący oklep na końcu. Wydawał on głośne rozkazy chłopakom prowadzącym osły, i otoczony był ciągle wzrastającym tłumem krajowców, przejętych uwielbieniem dla podróżnych. Ali spoglądał na nich jako zupełnie mu oddanych, mógł bowiem dostarczać zapasów spożywczych i zarazem zaspakajać umysłowe ich potrzeby legendami, które mi zabawiał ich po drodze.

Z każdej strony biegli krajowcy w białych zawojach, dźwigali kosze z podwieczorkiem i służyć mieli jako przewodnicy do grobów.

Zaraz za Alim, który się teraz wysunął naprzód, jechała młodzież, a wesołe jej śmiechy i żarty czasem nawet zagłuszały piskliwe głosy krajowców.

— Nie martw się, Alinko. Znieś mężnie wrzaski, tak jak Marysia — rzekł brat do starszej siostry, która jechała milcząca pomiędzy dwoma murzynami równie milczącymi. Nie cierpiała kurzu i z tego powodu towarzysze dokuczali jej zawsze, ale tym razem spojrzała zwycięzko na nich i rzekła pocichu, kładąc palec na ustach.

— *Moje* chłopaki cicho się sprawiają, bo dałam im do zrozumienia, że kto się odezwie hałaśliwie, nie dostanie ode mnie bakszyszu **). Uszy mnie bolą! wskazała na swoje uszy i potrząsała głową, a chłopaki to samo czyniąc z zaciśniętymi ustami spojrzeli na Edwarda.

— To sprytna dziewczyna! Doskonała myśl! Muszę jej spróbować. W samej rzeczy, wrzask był prawdziwie ogłuszającym, więc Edward chwycił się za uszy, wykrzywiając się: Musz kies, musz kies! (Niedobre! niedobre!). Nie bakszysz, gadać, bakszysz, cicho!

— Ja dobry chłopak! Ramses dobry osioł! — zawołał na cały głos chłopaczek prowadzący jego osła.

— Cicho! niedobry chłopak! jestem chory! — i Edward schwyił się znów za ucho z wyrazem bólu. Dziecko rozśmiało się i na chwilę ucichło.

— Słyszysz Magdusiu! niech twój chłopak będzie cicho! — rzekł Edward do młodszej siostry, jadącej za nimi z Henrykiem. — Alince i mnie ślicznie się udało; powiedzieliśmy, że mamy straszne bóle w uszach i grozimy, że kto będzie gadał, nie dostanie bakszyszu. Zabawna jesteś Magduniu — dodał, widząc wahającą się siostrę. — Przecież nie wyobrażasz sobie, że grzechem jest to udawanie...

— Ależ to nieprawdą jest przecież, bo lubo nie lubię tego hałasu, głuchą nie jestem i uszy mnie nie bolą wcale — odpowiedziała, śmiejąc się dziewczynka.

Edward skrzywił się pogardliwie, a Alinka zawołała głośno:

— Doprawdy, Magdusiu, tego za wiele! — ale przypominając sobie, że krzyk jej mógł się stać zaraźliwym — dodała ciszej: — To śmieszne, wymagać takiej dokładności w każdym słowie.

Magdusia się zaczerwieniła, ale nic nie odrzekła, a pan N. zapytał:

— Dlaczego nazywacie ją Magdusią? To nieładne zdrobnienie Magdaleny.

Wszyscy się rozśmieli, prócz Magdaleny, która razem z Henrykiem podjechała do Alego.

— Nazywajmy ją Maa, wujaszku — rzekła Marysia — jak egipską boginię Prawdy, dlatego, że każde słowo waży, żeby w niczem się z prawdą nie rozminąć.

Wuj spojrział na nią poważnie mówiąc:

— Dobrzeby było, żebyś czasem równie szanowała prawdę. Proszę, nie dokuczaj Madzi, dlatego, że lepszą jest od was — dodał i pojechał naprzód.

Droga prowadziła przez pola, które zwykle starannie były uprawiane; ale w tym roku, z powodu niedostatecznych wylewów Nilu, ziemia była spalona, a zboże nędzne, wyschłe i żółte. Grunt był popękany, rowki do nawodnienia suche, piaskiem zasypane. Gdziekolwiek sterczące łodygi wskazywały, że nędzny plon zebrano; cała dolina dziwnie smutno wyglądała, i tłum otaczający podróżnych zdawał się rzeczywiście potrzebować jałmużny, której się domagał. Byli to starsi mężczyźni, małe chłopcy w podartych granatowych koszulach i dzieci zupełnie nagie; wszystko to wyciągało ręce wołając: Bakszysz! bakszysz!

Pan N. zapytał ich po arabsku, czy dużo ucierpieli z powodu suszy, a oni gwałtownymi ruchami, wskazując to na otwarte usta, to na spaloną ziemię, rozpowiadali mu o swej nędzy. — Biedacy! — rzekł do Magdaleny i Henrysia; — mówią, że nie było wody, nie było żniwa, że próżny mają żołądek, ale że bakszysz wszystko naprawi. Zdaje mi się, że tym razem prawdę mówią. Ciężkie czasy u nich nastały.

— Oddam moje śniadanie memu chłopcu — prędko odezwał się Henryś; — przynajmniej raz się naje.

— Zdaje mi się, że tym chłopakom jeszcze lepiej się dzieje jak innym — powiedział p. N. — Podróżni są dla nich żniwem. Potem widząc że się Henryś zasmucił, dodał: — Możesz jednak oddać twoje śniadanie komu chcesz, takiemu przynajmniej, który wyda ci się głodnym, Henrysiu, i zatrzymał się, czekając na pana R.

Gdy tylko odszedł, Ali spojrział uradowany na Henrysia. Ali niecierpiał pana N., który był uczonym człowiekiem, a każdy uczony umiejący mówić po arabsku, może się obejść bez dragomana, czyta hieroglify i ma nieprzyjemny zwyczaj prostowania potoku niedokładnych wiadomości, które dragoman wylewa na pozbawionego nauki podróżnego. Ali wiedział, że wśród nieszczęsnych okoliczności, w których znajduje się Egipt, nie mógł się spodziewać aby prawo zakazywało ludziom uczonym wylądowywać na wybrzeża, ale ze swojej strony robił co mógł, żeby im niemiłym pobyt uczynić, okazując im zupełną obojętność i lekceważenie.

*) Tłomacz.

**) Na piwo.

ŁABĘDŹ.

Gdy tylko się oddalił, Ali rozpuścił język i pokazując Henrysiowi wyjątkowo dobrze wyglądającego chłopaka:

— Pan, dobry panicz — powiedział. — Ludzie bardzo głodni, bardzo biedni. Panicz da śniadanie temu chłopcu. Ali zna go!

— To pewno krewny Alego — powiedział Henryś, mru-gając na Magdalenę; żartowali bowiem ciągle między sobą z niezliczonej liczby krewnych Alego.

— On bardzo dobry chłopiec, on ukochany syn brata mego szwagra; bardzo dobry człowiek.

Ów bardzo dobry człowiek, poważny Arab, w szerokim białym zawoju, który siedł obok osła Alego, odwrócił się na to, i uroczyście uklonił się Henrysiowi.

— Chciałbym żeby Ali nie miał tylu krewnych, od których trzeba zawsze kupować starożytności, i którzy zdają się mieć dużo lepiej od innych. Tak nie lubię być przymuszana dopomagać im — skarżyła się Magdalena.

— On nie jest naszym dragomanem — zawołał radośnie siostrzeniec pana N. — dam więc moje śniadanie komu mi się będzie podobało.

Pocziwa Magdzia, lękając się obrazić Alego, zwróciła uwagę na zgliszczą opuszczonej wioski, przez którą przejeżdżali. Walące się ściany z gliny, gdzieniegdzie pobielone i ozdobione niekształtnym rysunkiem pozostały jedynie po klęsce pożaru.

— Kto tu mieszkał, Ali? Czy dawno ta wieś spalona?

Ali natychmiast odpowiedział, z towarzyszeniem zwykłego chóru otaczających go chłopaków.

— Tu źli ludzie mieszkali, rozbójnicy! Ibrahim pasza wszystkich pozabijał, a wieś spalił.

— My dobrzy ludzie! — zawołali chłopaki, poganiając osły. Niczadługo znaleźli się u stóp kamienistego pagórka, na szczycie którego były groby i tu wszczęło się wielkie zamieszanie.

Stado ciemnych, o potarganej wełnie owiec, pasło się na piasku, poważny brat szwagra Alego pokazał je temu ostatniemu. Natychmiast Ali skoczył z osła, wpadł pomiędzy owce, oglądał je po drugich, nareszcie porwał najtłuszcieszą i rzucił ją jednemu z majtków, który wystraszoną popędził przed sobą. Chłopaki zaś i tłum cały przeczuwając walkę, pobiegli za uciekającym stadem, żeby wziąć głośny udział w pełnych rozkoszy wzruszeniach handlu, a reszta podróżnych pozostała na drodze czekając, dopóki targu nie dobieją.

Nareszcie Ali powrócił ze zwycięską miną, gdy brat jego szwagra odchodził zasepiony. Ali zacierał ręce i prowadząc osła Magdaleny po stromej ścieżce, odezwał się.

— Kosztowało dużo. Musiałem dać cały funt. Taki piękny baran!

— Zamiast funta, czytaj ośm szylingów, a będziesz bliżej prawdy — szepnęła Marysia Edwardowi, wysuwając się z nim naprzód.

— Maryniu, urodziłaś się na agenta policyi. Będziesz moją gospodynią, nieprawdaż? Kiedy na swoim osiądę — mówił Edward.

— Ani myślę na twoje gospodarstwo czekać — odpowiedziała, i śmiejąc się i żartując pojechała dalej.

(d. c. n.)

Letni wieczór... jasną skroń
W mgłę różowej słońce chłowa;
Wygladzona, kryształowa,
Lśni w zaroślach wody toń.
Nad nią smętne brzozy płaczą,
Po niej srebrne kręgi znaczą
Dwoje skrzydeł śnieżnej bieli
Ptaka, stróża tej topieli.

Jak jeziora srebrny duch,
Biały łabędź cicho płynie,
Zwolna płynie po głębinie,
Tem zwierciadło światów dwóch!
Bo w nie rzuca w pełni kraszy:
Ziemia — swoje góry, lasy,
Niebo — swoje błyskawice,
Słońca — gwiazdy i księżycy!

Nad skarbami, co tam na dnie
W kryształowy gmach zamknięte,
Nad przybytki ich zakłete,
Stróż zakłety — łabędź mknie.
Cichy, piękny, tajemniczy,
W piersi kryje głos słowicy,
Lecz — odjęta mu jest mowa,
By nie zdradził — zakłęcz słowa!

Może tylko marzyć... śnić...
W nieskończony błękit płynąc,
Ale skazydeł nie rozwinąc
Ale wszystko w piersi kryć!
Bo tak każe zazdrośnica,
Czarodziejka — „Tajemnica”,
Trwożna, czy jej skarbów na dnie
Chciwy człowiek nie wykradnie

M. B.

POGADANKA NAUKOWA.

KRZEM.

Helenka i Kazio wchodząc do pracowni pana Witolda, zauważyli natychmiast porozkładane na stole kryształy.

— To ametyst, a to granat, nie, rubin chyba — wołała Helenka, gdy po przywitaniu pana Witolda zbliżyła się do stołu.

— Nie jest to właściwy rubin — odparł nauczyciel — nosi też nazwę czeskiego rubina.

— A ta błyszcząca blaszka, czy to srebro? — pytał Kazio.

— Wszystko, co na tym stole widzicie, przedstawia wam różne odmiany bardzo pożytecznego pierwiastku, zwanego krzemem — objaśnił nauczyciel.

— I ta szklana tafelka? — zapytała Helenka.

— Naturalnie, ponieważ krzem jest podstawą szkła, główną jego składową częścią. Lecz zanim przejrzymy związki krzemu lub sztuczne z krzemu i z innych pierwiastków złożone mieszaniny, przyjrzyjcie się czystemu pierwiastkowi, który chemicy ze związków jego oddzielili. Tutaj widzimy złożone na mieszczce błyszczące opilki, tu znów tafelki maleńkie, sześciokątne, ciemniejszej od srebra barwy; jest to krzem czysty, tak jak i ten proszek ciemno brązowy. Widzicie więc, że nasz pierwiastek może przybierać różne postacie. Jakim zaś dzieje się to sposobem, tego roztrząsać tutaj nie będziemy; dodam tylko, że czystego krzemu nie znajdujemy w naturze, za to w związku tlenu z różnymi innymi ciałami, widzimy go na każdym kroku nieledwie.

Czemże jest bowiem zwykły piasek? Połączeniem krzemu z tlenem, z domieszką to wapnia, to żelaza, potasu i t. d.

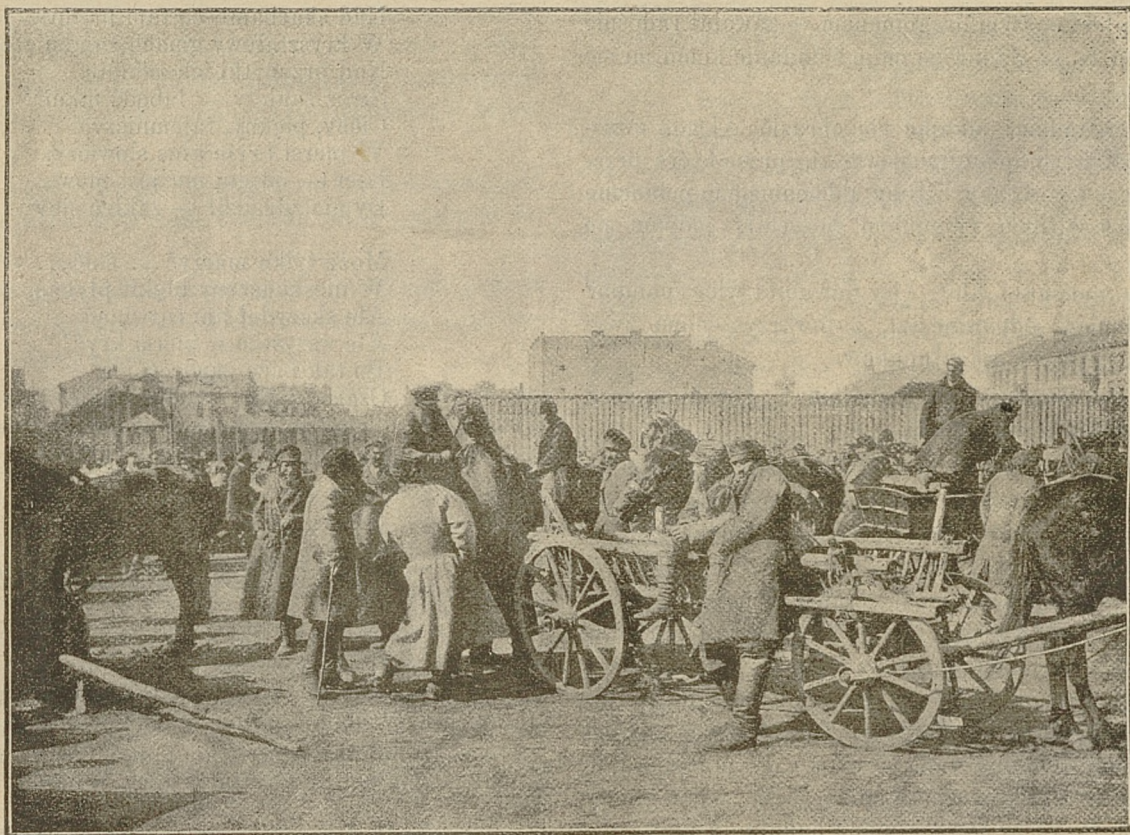
Z białego piasku właśnie wyrabiamy szkło dorzucając doń węglanu sody i białej kredy. Z tej mieszaniny powstają nasze szyby. Lecz szkło na różne inne użytki obracamy także. Zwyczajne butelki naprzykład wyrobione są z gorszego gatunku piasku żelazistego, pomieszanego z gliną, popiołem i kawałkami starego szkła. Jeżeli zaś chcemy mieć szkło mocne, mniej więcej odporne rozbiciu, węglan sody zastępujemy węglanem potasu; przy fabrykacji kryształów dodajemy jeszcze do mieszaniny trochę ołowiu, gdyż ten metal obdarza szkło własnością silnego odbijania promieni światła. Wszystkie rodzaje szkła o których dotąd wspomniałem są przezroczyste, lecz znamy też różne przedmioty z nieprzejrzystego szkła, np.

pospolite, które z łatwością obok siebie znaleźć można; aby je w szkło zamienić, należy tylko stopić je razem. A teraz zadam pannie Helenie jedno pytanie? Jeśli silnie bardzo rozgrzejemy węglan sody i kredę, która, jak wam wiadomo jest węglanem wapnia, czy w stopionej masie pozostanie kwas węglany?

— Nie — odparła Helenka — gdyż kwas węglany jest gazem, i przy topieniu węglanów ulatnia się.

— Bardzo dobrze, panno Heleno, otóż zauważyła pani zapewne w przedmiotach szklanych drobne kulki, jakby pęcherzyki powietrza w masie szkła zamknięte?

— Widziałam je nieraz. Są to zapewne w kulki zebrane cząstki gazu węglanego.



TARG NA PRADZE POD WARSZAWĄ.

klosze do lamp, wazoniki i t. d.. Otóż takie szkła zawierają w sobie fosforan wapnia. Najbogatszym w ołów jest *stras* z którego wyrabiają fałszywe dyamenty. Emalia wreszcie jest nieprzezroczystym szkłem zabarwionem różnemi metalami, stosownie do koloru, który otrzymać chcemy. Przy fabrykacji emalii często zamiast fosforanu wapnia używamy kwasu cynowego.

— Kto to szkło wynalazł? — spytał Kazio.

— Zwykle wynalazek szkła przypisują Fenicyanom, lecz mamy dowody, że Egipcyanie na tysiąc sto lat przed naszą erą już szkło znali i pod względem pierwszeństwa wynalazku ubiegli Fenicyan. Przypadek, bezwątpienia, odkrycie to spowodował. Piasek, węglan, soda, kreda, toż to ciała bardzo

— Tak jest — potwierdził pan Witold — szkło stygnąc gęstnieje i więzi niejako gaz węglany, który jeszcze ulotnić się nie mógł. W przedmiotach codziennego użytku, jako to w szklankach, talerzykach i t. p. jest to niedokładność nic nie znacząca; lecz w szklach potrzebnych optykom, np w mikroskopach, okularach, lupach, taki drobny pęcherzyk zepsułby całe narzędzie. To też soczewki optyczne wyrabiane są z nadzwyczajną starannością, w ogóle zaś, szkło stopione, wówczas dopiero stygnąc powinno, gdy nie ukazują się na powierzchni masy pękające pęcherzyki gazu. Wtedy to szklarz zanurza w na pół płynnej masie żelazną rurkę, i wydychuje z wydobytej bryły szkła dany przedmiot. Ta czynność wymaga wprawy i zręczności. Jeśli zaś ze szkła mają być szyby do okien



Ł A B Ę D Ź.

lub lustra, wtedy wylewa się masę na szerokie, doskonale wyglądzone płyty żelazne. A teraz wróćmy do naturalnych związków krzemu.

— Ten piękny, przezroczysty kryształ — mówił po chwili pan Witold — który podaję pamięci Helenie, zowiemy kryształem górskim; składa się on z krzemu i tlenu. Wielkie kryształy górskie rzadko spotykamy, lecz mniejszych istnieje mnóstwo w górach granitowych, gdyż kwarc czyli kryształ górny, jest jedną ze składowych części granitu. Kwarc znajdujemy również przy pokładach kredowych. Mika, której przezroczystą tafelkę Kazio trzyma w ręku jest również związkiem krzemu z magnezjum lub żelazem.

— Mikę w granicie także znajdujemy? — zapytał Kazio.

— Tak jest. Istnieją dwie odmiany miki: biała i czarna, obydwie są bardzo łupkie, dają się dzielić na cienkie nadzwyczaj warstewki.

— Znasz to Kaziu? — zapytał po przerwie pan Witold, podając swemu uczniowi mleczno-biały przedmiot.

— To opal, widziałem już ten kamień u mamy; to także krzem?

— Nieinaczej, to krzem niekrystaliczny, zarówno jak agat, który tu widzimy, dalej jaspis, wreszcie ametyst. Lecz tutaj leży jeszcze krzemień. Kamień to bardzo pospolity,

który miał wielkie znaczenie jeszcze na początku naszego wieku, przed wynalezieniem zapaltek.

— Hubka i krzesiwo! — zawołał Kazio — to nam zastępowało zapalki! Wiem, lecz przyznam się, że takie krzesanie ognia długo trwać musiało i mnie przynajmniej bardzo by niecierpliwilo.

— A jednak dawniej musieli się niem ludzie zadawałniać. Krzemienych siekierok używali też nasi pra-pra-ojcowie, gdy nie znali jeszcze żelaza. To też krzemienne siekierki były w użyciu jeszcze w przedhistorycznych czasach.

— Z tego co nam pan profesor mówił — odezwał się Kazio — wynika, że krzem był, jest i zapewne będzie ciałem bardzo pożytecznym.

— Ze zaś druga godzina dochodzi, musimy pożegnać pana profesora — rzekła Helenka; — ślicznie więc dziękujemy za dzisiejszą pogadankę.

A. M.

ALBANIA.

(Dokończenia).

Jak obyczaj, tak i ubiór Albańczyków odznacza się wielką oryginalnością. Nigdzie może nie panuje tak wielka, jak tam, różnaitość odzieży, bo inaczej ubiera się chrześcianiin od muzułmanina i to we wszystkich warstwach społeczeństwa. Góralki, wieśniaczki, mieszkarki chrześcianiinki, różnią się ubraniem od swoich rodaczek mahometafiskiej religii, przede-wszystkiem zaś chodzą z twarzą odkrytą, podczas gdy muzułmanki, wychodząc z domu, biorą zawsze *jasmak* t. j. muślinową chustkę, która im służy do zasłonięcia twarzy tak, że oczy tylko wyglądają z ponad zasłony. Na zamieszczonej w N. 34 W. R. rycinie widzimy ubiór mieszkańca Skodry: najważniejszą jego częścią jest *fistan*, czyli rodzaj białej bawełnianej tuniki, dochodzącej od kolan, złożonej z kilkuset zeszytych ze sobą pasków, szerszych u dołu, niż u góry. Im *fistan* piękniejszy i droższy, z tem większej ilości pasków się składa, tem sutszemi fałdami okrywa znajdujące się pod niemi ubranie z białego jedwabiu lub wełny. Do tego wdziewa się *dżiamađan*, czyli sukienka kamizelka z rękawami haftowanymi czerwonym jedwabiem, w zimie czarna, w lecie jaskrawej barwy; na nią idzie druga kamizelka bez rękawów, *jelek*, ozdobiona bogatym haftem ze złota i jedwabiu i srebrnemi lub pozłacanymi guzikami. Ubiór ten uzupełniają długie kamasze zwane *desluk*, sięgające aż po kolana, najczęściej z czerwonego sukna, bogato także haftowane; na głowie fez czerwony, a do wyjścia *dulam* czyli rodzaj surduta z czerwonego sukna, na rogach haftowanego złotem i jedwabiami i *brez*, jedwabny pas, długi czasem na parę metrów, kilka razy powyżej bioder przewiązany. Za pasem założony mają *jatagan*, krzywy nóż i *harbi*, żelazną laseczkę do nabijaniabroni. Górale noszą ubiór mniej więcej tym samym krcjem, lecz z grubego, białego sukna, domowej roboty a zamiast haftów, czarne wełniane szlaki. Zamiast bielizny używają albańczycy białej wełny, stosownie do zamożności grubszej lub cieńszej, od słoty zaś okrywają się czarnymi wełnianymi płaszczami, bez rękawów. Dzieciom do siódmego lub ósmego roku życia, często nawet później, wcale nie dają ubrania, mówiąc, że ubraniem ich jest ogień, co znaczy, że dzieci zajmują najpierwsze miejsce przy ognisku, przy którym grzeje się cała rodzina. Nietylko dzieci, ale i starsi chodzą zazwyczaj boso, do podróży tylko obuwając się w sandały zwane *opange* i nieraz się zdarza, że na 6 osób w domu, znajduje się jedna para obuwia, przez każdego po kolei używana. Kobiety chrześcianiinki noszą w lecie i w zimie ciężki płaszcz z jasno-czerwonej tkaniny, zwanej *japandie*, z wyszytym na przodzie krzyżem z złotego jedwabiu, obcisła i krótka spódnica, *jube*, z materiału domowej roboty, ozdobna frędzla i haftem, kamizelka także haftowana i dwa długie, fałdziste fartuchy, jeden z tyłu drugi z przodu, malowniczo i zręcznie upięte. Do tego dwa

pasy: jeden z czarnej skóry, drugi z czerwonego sukna, do niego przyczepione miedziane łańcuszki z krzesiwem, nożyczkami, kluczami i t. p. drobiazgami. Muzułmanki ubierają się podobnie do Turczynek, w koszule z jedwabnej kolorowej gazy, z bardzo szerokiemi rękawami, haftowanymi złotem, w aksamitne obcisłe staniki, haftem i galonami wyszyte, a zapięte na dwa rzędy srebrnych, pozłacanych guzików. Na głowie fez lub *periscian*, dyadem z kosztownych paciorków, do którego przytwierdzone są cekiny, spadające na czoło i skronie. W ogóle ubiór wszystkich klas odpowiada malowniczością niezwyklej malowniczości krajobrazu; w rażącej za to z niemi sprzeczności stoją domy, nadzwyczaj skromne, pozbawione symetrii i gustu estetycznego, najczęściej tak urządzone, że na parterze mieszczą się stajnie i śpichrze, na piętrze pokoje mieszkalne. Sprzętów, u zamożnych nawet mieszkańców, bardzo mało. Dokoła sali, w której gości przyjmują, szeroka, niska sofa, pokryta czerwonym suknem lub kobiercem, na niej poduszki rozmaitego koloru, nad nią półka z naczyniami cynowemi lub miedzianymi, na ścianach przybita broń, nieraz bardzo cenna, na podłodze kobierce lub naty. W chrześcianińskich mieszkaniach znajduje się czasem stół lub szafa, rzadziej jeszcze krzesło lub fotel, mieszkańcy bowiem siadać zwykli na ziemi.

Domy górali są nietylko skromne, ale nędzne: bez podłogi, bez okien i pieca, nawet bez otworu w dachu do wypuszczenia dymu, który wychodzi szparami. Ogniska znajdujące się pośrodku jedynej izby, służącej za mieszkanie dla ludzi oraz dla zwierząt domowych, gromadzi całą rodzinę, nad ogniem wisi naczynie blaszane do gotowania stawy, najczęściej fasoli lub grochu, obok ognia stoi drugie, gliniane, do zarabiania ciasta na chleb. Zamożniejsi tylko mają domy piętrowe, zwane *kula*; na parterze stajnia i obora, na piętrze właściciele, którzy dostają się do mieszkania nie po schodach, ani nawet po drabinie, lecz po belce dębowej, szerokiej na pół łokcia najwyżej, na której siekierą porobione nacięcia służą za stopnie. Okna maleńkie, bez szyb, izby niskie, wychodzące na *divan-hane*, rodzaj werendy, z której jest wejście do wszystkich izb *kuły*. Mebli naturalnie żadnych, prócz sof pod ścianami; nikt potrzeby ich nie czuje, bo wszyscy siedzą przed ogniem, który zimą i latem ciągle płonie na ognisku.

Zamożniejsi Albańczycy podejmują gości bardzo hojnie, a kuchnia chociaż od naszej odrębna, nie mniej jednak jest smaczną. Obecni zasiadają na ziemi, służba rozściela im na kolanach długą haftowaną serwetę, a drugą mniejszą kładzie każdemu na ramieniu. Przed obiadem podają jako przekąskę wędzone mięswo, suszone owoce; następnie wodę do umywania rąk, a potem przynoszą płytę miedzianą, wspartą na czterech podstawkach i przykrytą pięknym dywanem; służy ona za stół. Obiad rozpoczyna się zupą, potem pieczone jagnię lub koźlą z owocami, *pilaw* z baraniny i ryżu i różne inne mięsowa, do których wszakże nie używają widelców. Jeść trzeba palcami prawej ręki, lewej zaś dobre wychowanie nie pozwala pokazywać na stole. Górale żyją bardzo nędznie: grochem, fasolą, chlebem pieczonym z mąki kukurydzianej, jadają dużo czosnku i cebuli surowej, zaprawiając ją solą, lub słoną wodą, w której przechowują sery. Nabiału nie używają na codzień, lecz wyrabiane z mleka masło i sery służą im do przyjęcia w dniu uroczyste gości, których tak chrześcianiinie jak i muzułmanie bogaci i ubodzy przyjmują bardzo gościnnie, racząc tem, co dom ma najlepszego.

Rodziny złączone są bardzo ściśle i w ogóle wyraz „rodzina” „ród” ma u albańczyków daleko szersze znaczenie niż u nas. Pokrewieństwo rozciąga się u nich do bardzo dalekich stopni, obejmując także i „pobratymców” wraz z ich rodzinami

Zwierzchnikami górali są *bajraktarowie* czyli chorążowie, dla tego tak nazwani, że noszą sztandar swego plemienia (*bajrak*). Obok nich najwyższą władzę mają starcy, którzy tworzą radę; ilość członków zależy od ilości rodzin plemienia, z których każda ma swego przedstawiciela. Wyrazu „starzec” nie należy jednak brać dosłownie. Urząd *starca* przechodzi bowiem z ojca na syna, skutkiem czego czasem się zdarza, że

starcem plemienia zostaje dziecko; wtedy najbliższy krewny zastępuje go w radzie dopóki nie dojdzie do pełnoletności. „Starczy” i bajraktorowie czuwają nad interesami swych podwładnych i nad wykonywaniem praw, które uchwałać może tylko zebranie ludu zwołanego na walną radę. Przyjmowanie udziału w naradzie uważanem jest za obowiązek, od którego nikomu uchylać się nie wolno; nieobecni surowo bywają karani, tem surowiej, że przedmiotem narady bywa najczęściej uchwalenie najskuteczniejszego sposobu oparcia się rozporządzeniom wydanym przez rząd turecki.

W ogóle ludność Albanii i Czarnogórza, na pół jeszcze barbarzyńska, mało oświecona, zachowała wiele cech dodatkowych, właściwych ludom, żyjącym w stanie pierwotnym: gościnność, prawość, uczciwość, poprzestawianie na małym, przywiązanie do starych siedzib i starego obyczaju narodowego.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Franciszka zachwylił wdzięk pełen skromności z jakim skłoniła się młoda dziewczyna, a widząc ją jeszcze mocno zaniepokojoną stanem zdrowia narzeczonego, zadawał jej począł pytania do Nikona się odnoszące.

— O ile słyszałem — rzekł — zdrowiu Nikona nie groziło poważne niebezpieczeństwo?

— Nie, panie—odparła Mariota—i Bogu niech będą za to dzięki!

— Dobrego macie lekarza w Werście?

— Hm! hm! — mruknął sędzia Kole tonem bardzo mało pochlebnym dla dawnego dozorczy kwarantany.

— Mamy doktora Pataka — odpowiedziała Mariota.

— Czy tego, który towarzyszył Nikonowi do tajemniczego zamku?

— Tak, panie hrabio.

— Panno Marioto — rzekł teraz młody hrabia — w interesie narzeczonego pani, chciałbym właśnie widzieć się z nim i z ust jego usłyszeć dokładniejsze szczegóły o tej przygodzie.

— Miło mu będzie udzielić ich panu hrabiemu, choćby nawet przyszło mu opłacić je znużeniem...

— O! nie nadużyję pozwolenia, panno Marioto i nic nie powiem, coby mogło zaszkodzić Nikonowi.

— Jestem tego pewną, panie hrabio.

— Kiedy ma się odbyć ślub wasz?

— Za jakie dwa tygodnie -- odparł sędzia wyręczając córkę.

— Będę więc miał przyjemność być na nim obecnym, jeżeli wszakże pan sędzia zechce mię zaprosić?

— Ach, panie hrabio, tyle zaszczytu...

— A więc za dwa tygodnie, na tem stanęło? Nie wątpię, że Niko będzie zupełnie zdrow, niech tylko używa przechadzki z miluchną swoją narzeczoną.

— Niech go Bóg ma w swojej pieczy, panie hrabio — odparła rumieniąc się młoda narzeczoną, a sliczna, świeżuchna jej twarzyczka wyrażała w tej chwili tak widoczny niepokój, że Franciszka zapytał o jego przyczynę.

— Oj, tak! niech go Bóg ma w swej pieczy — odrzekła Mariota — bo usiłując wdrzeć się do zamczyska pomimo zakazu duchów, Niko ściągnął na siebie ich gniew, i kto wie, czy nie będą go prześladowały przez całe życie.

— O! co do tego, panno Marioto, niech pani będzie zupełnie spokojną; zapobieżymy temu, daję pani słowo.

— Nic się memu biednemu Nikonowi złego nie stanie?

— Nic, a dzięki agentom policyjnym, za kilka dni będzie można przebywać w obrębie zamku z takim samym bezpieczeństwem jak dziś w Werście!

Nie wierząc jednak w skuteczność prowadzenia dyskusji o nadprzyrodzonym w obec umysłów tak przesyndnych i uprzedzonych, młody hrabia przerwał rozmowę prosząc Mariotę aby go zaprowadziła do pokoju leśniczego. Młoda dziewczyna chętnie zadość uczyniła jego żądaniu i wyszła, pozostawiając hrabiego ze swym narzeczoną.

Nikonowi doniesiono już o obecności dwóch podróżnych w gospodzie *Pod królem Matyaszem*. Podniósł się na przyjęcie młodego pana z głębi ogromnego fotelu, ze wszystkich stron otoczonego wyściełanem oparciem i poręczami, o ponieważ paraliż, który go był chwilowo obezwładnił, już przeminał szczęśliwie, mógł więc Niko odpowiadać na wszystkie pytania Franciszka.

— Panie Deck — zagadnął hrabia, przyjaźnie uściśnawszy dłoń leśniczego — zacznę od zapytania pana, czy pan wierzysz w obecność złoczyńnych duchów w tajemniczym zamku.

— Zmuszony jestem wierzyć, panie hrabio — odparł Niko Deck.

— Więc podług pana one to nie dozwoliły panu dostać się poza obręb murów zamkowych?

— Niewątpliwie.

— Dlaczegożby czynić to miały?

— Gdyby nie istniały, panie hrabio, cóż być mogło przyczyną wypadków, których się stałem ofiarą?

— Czy będziesz pan łaskaw opowiedzieć mi, nie opuszczając najdrobniejszego szczegółu, wszystko, co miało miejsce pod murami zamku?

— Jak najchętniej, panie hrabio.

Drobiazgowo opowiadać więc zaczął Niko wszystko, co mu się wydarzyło i ma się rozumieć, powtórzył także wiadome już hrabiemu wydarzenie w gospodzie, które młody człowiek tłómaczył zupełnie naturalnemi przyczynami.

Ostatecznie, wszystkie wypadki tej pełnej przygód nocy, można było wytłómaczyć z łatwością przypuszczeniem, że istoty ludzkie w zamku przebywające, bądź-to złoczyńcy, bądź nawet najporządniejsi w świecie ludzie, posiadają jakieś przyrzady, a te ułatwiają im wywoływanie fantazmagoryj podobnych tym, których świadkiem byli podróżni. Co zaś tyczyło się dziwnego przywidzenia doktora, że go jakaś niewidzialna siła do ziemi przykuła, to odeprzeć je można było przypuszczeniem, że biedny Patak był poprostu igraszką złudzenia. Najprawdopodobniej jednak stracił władzę w nogach poprostu dla tego, że przytomność stracił ze strachu i tak też tłómaczył Franciszek wypadek ów leśnikowi.

— Jakto może być, panie hrabio — odparł nieprzekonany bynajmniej Niko — żeby taki tchórz stracił władzę w nogach właśnie w chwili, kiedy się do ucieczki zabierał? To istne niepodobieństwo! niech pan hrabia sam przyzna?

— No, to przypuśćmy, że stąpił w jakiś potrzask, w jakieś żelaza, ukryte może w trawach na dnie fosy.

— Samotrask i żelaza — odrzekł na to leśniczy — kaleczą zwykle okrutnie, szarpiają ciało, a na nogach doktora nie ma śladu rany.

— Słuszna bardzo uwaga Nikonie, wierz mi przecież, że jeżeli doktor nie mógł nóg wyswobodzić, to dlatego jedynie, że się dostały w jakiś potrzask.

— To ja odpowiem, zapytując pana hrabiego, jakim sposobem potrzask mógł się sam otworzyć, żeby wolność przywrócić doktorowi?

Na to pytanie w samej rzeczy nie znalazł młody człowiek odpowiedzi.

— Zresztą, panie hrabio — mówił dalej leśniczy — dajmy już pokój temu co się tyczy doktora. Ostatecznie, twierdzić mogę stanowczo o tem tylko, o czem się sam osobiście przekonałem.

— No, tak; dajmy pokój pocziwemu doktorowi i mówmy o tem tylko co się ciebie tyczy, panie Nikonie.

— To, co się mnie tyczy, bardzo jest jasne. Niewątpliwą jest rzeczą to, że m doznał okropnego wstrząśnienia i to w sposób zupełnie niaturalny.

— Nie miałeś pan żadnych ran na ciele? — pytał hrabia.

— Żadnej, panie hrabio, a przecie cios, który otrzymałem, niezmiernie był gwałtowny.

— I otrzymałeś go pan w chwili, gdyś kładł rękę na żelaznem okuciu zwodzonego mostu?

— Tak. Zaledwem go dotknął, ręka opadła mi bezwładna, jak sparaliżowana. Na szczęście nie puściłem łańcucha, którego się trzymałem drugą ręką i dzięki temu jedynie, zamiast spaść głową na kamieniu, zsunąłem się zwolna po łańcuchu w głąb fosy, gdzie mnie doktor podniósł nieprzytomnego.

Franciszek słuchał, ale słuchając poruszał głową z niedowierzaniem.

— Panie hrabio — nalegał Niko Deck — niech pan wierzy, to, co panu opowiadam, nie we śnie mi się zdarzyło, lecz na jawie, a skoro przez calusieńki tydzień leżałem na łóżku, nie mogąc poruszyć ani ręką, ani nogą, to nie może pan hrabia utrzymywać, że mi się to wszystko przywidziało.

— Nie utrzymuję też tego wcale, owszem, przekonany jestem, żeś pan doznał gwałtownego wstrząśnienia.

— Gwałtownego, bo za dyabelską sprawą.

— Nie za dyabelską, panie Nikonie, i w tem właśnie różnią się nasze poglądy. Pan wierzysz, żeś został uderzony przez jakąś istotę nadprzyrodzoną, ja zaś w to nie wierzę dla tej prostej przyczyny, że niema istot nadprzyrodzonych, ani dobro, ani złoczyńnych.

— Niechże więc pan hrabia zechce mi wytłómaczyć przyczynę wszystkiego co mi się zdarzyło?

— Nie jestem jeszcze w możności uczynić to, panie Nikonie — odparł młody człowiek z prostotą — bądź pan jednak pewien, że się przyczyna znajdzie i okaże się jak najprostszą w świecie.

— Dałby Pan Bóg! — odrzekł leśniczy.

— Powiedz-że mi pan — podjął znowu Franciszek — czy ten zamek należał i dawniej do rodziny Górców.

— Należał i do dziś dnia należy, chociaż ostatni potomek rodziny, baron Rudolf, znikł bez wieści.

— Kiedy?

— Ze dwadzieścia lat temu.

— Ze dwadzieścia?

— Tak, panie hrabio. Pewnego dnia baron Rudolf opuścił zamek, i nie powrócił już nigdy, a w kilka miesięcy po jego wyjeździe zmarł ostatni ze starych sług zamkowych.

— I odtąd niczyja noga nigdy nie postąpiła w zamku?

— Niczyja.

— Cóż myślą o tem tutejsi?

— Myślą, że baron Rudolf musiał gdzieś umrzeć za granicą i to zapewne niedługo po swoim zniknięciu.

— Mylą się, myśląc tak, panie Nikonie. Baron żyje dotąd, żył przynajmniej pięć lat temu.

— Żył jeszcze?

— Tak; we Włoszech był... w Neapolu.

— I pan hrabia go widział?

— Widziałem na własne oczy.

— A od tej pory?

— Od tej pory nie słyszałem nawet o nim. Zamyślił się młody leśniczy. Przyszła mu do głowy myśl, którą wahał się ująć w wyrazy. Zdecydował się wreszcie to uczynić i podniósłszy głowę, brwi zmarszczywszy, za-

pytał:

— Niepodobna przecie przypuszczać, panie hrabio, żeby baron Rudolf na Gorcu powrócił do kraju z zamiarem zamknięcia się w starem zamczysku.

— Nie; tego przypuszczać niepodobna.

— Jakiżby miał cel w ukrywaniu się? Dlaczego nie dopuszczałby nikogo do siebie?

— Nie miałby do tego racji żadnej — odparł hrabia. (d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

od Gamy C-dur dla Jadwini R. w Kr.

Z następujących sylab: Je—e—ulm—ju—na—no—se—ger do—na—ko—ret—in—ło—stan — ułożyć 7 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą nazwisko poety, autora poematu, na tle dziejów Grecyi osnutego, końcowe zaś w tym samym kierunku tytuł jego utworu. Znaczenie wyrazów: 1. Twierdza nad Dunajem. 2. Miasto nad Saalą sławne bitwą. 3. Miasto lub rzeka w Czechach. 4. Bogini światła u Rzymian lub planeta. 5. Dopływ Dniestru. 7. Figura geometryczna lub miasto. 6. Nazwa wschodniej Indyi.

ZADANIE KONIKOWE.

bo	nie	ty	so
Z żar	ze	sadz	lą
prze	bo	lą	jak

ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

Pytania:

Jestto liczba, wskazująca ile razy pewna objętość jakiegoś ciała jest cięższą od takiej samej objętości wody najgorętszej t. j. mającej ciepła 4°. Wszystkie ciała i płyny o ciężarze gatunkowym mniejszym od wody, pływają po niej, cięższe zaś toną w niej.

Szarady: Lom — bard — ja.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna. Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: Ze wspomnień podróży do Egiptu (z drzew.) — Łabędź, wiersz p. M. P. (z drzew.) — Targ na Pradze pod Warszawą (drzeworyt). — Pogadanka naukowa. p. A. M. — Albania (dokończenie). — Tajemniczy zamek. — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek:** Dzieci tamulskie (z drzew.) — Zawstydzony, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Miłość braterska p. Henryka Wernica. — Obowiązek p. Mar. — Z pobytu u wód p. A. Z. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



DZIECI TAMULSKIE.

Na wyspie Ceylon żyją ludzie Tamulami zwani, różnią się oni tak językiem jak i obyczajami od miejscowych mieszkańców. Rycina nasza przedstawia dzieci, które przezorna matka, odchodząc, zabezpieczyła od upadku, ustawivszy jedno obok drugiego w koszu.



ZAWSTYDZONY.

Z Olka chłopczyk już nie mały,
Lecz go figle się trzymały,
Aż się dziwić, skąd ochoty
Bierze Olek do pustoty.
Raz, dmąc w trąbkę, wprost napada
Na gąsiora wpośród stada.
Gąsior, niezbyt dzielna sztuka
Drapnął, ocalenia szuka!
Gęsi także popłoszone
W tę, to w ową lecą stronę.

Lecz nie zawsze jednej twarzy
Zwykł los bywać dla figlarzy.
Wpadły gęsi na psotnika,
Hejże! za nim! Olek zmyka,
Gęsi gonia, szczypią w łydki —
Oj! wypadek to był brzydki!
Długo ślady się zostały...
Wstyd Olkowi był niemały!

T. P.

MIŁOŚĆ BRATERSKA.

W dawnych, bardzo dawnych czasach, we wspaniałym zamku mieszkał pan potężny. Miał on do czynienia z wielu niedobrymi ludźmi, nikomu też nie ufał i nikogo do swego pokoju wpuszczać nie kazał. Ufał tylko ulubionemu psu. Ten zwyczajnie spoczywał przeddrzwiami, prowadzącymi do komnaty pana a jeśli kto się zbliżał, warczał i pokazywał ostre zęby.

Pewnego rana starszy syn jego, będąc na polowaniu zastrzelił przypadkiem ojcowskiego ulubieńca, którego wziął za dzikiego zwierza, gdyż się błąkał w lesistej gęstwinie,

Znając surowość ojca, młody człowiek czempędzej po tym wypadku opuszcza zamek, lękając się aby się nie dowiedziano, iż jest zabójcą ojcowskiego psa.

Niebawem doniesiono panu zamku, że jeden z uczestników polowania psa jego zabił.

Rozgniewany pan przywołuje czeladź i synów, aby wymierzyć karę na winowajcę:

— Wiecie jak lubiłem psa mojego — rzecze — hojnie wynagrodzę tego, kto mi wskaże jego zabójcę. Surowo go ukarzę, choćby nim był mój syn własny.

Słyszac to syn starszy, zadrzał. Śmiertelna bladeść pokryła jego lica; znał bowiem srogość pana zamku. Spozrzegłszy to, młodszy brat, rzucił się do nóg ojcu, mówiac.

— Błagam cię o litość ojczcie i panie, ja to psa zabiłem.

Ojciec w pierwszej chwili pochwycił za szablę, lecz starszy syn powstrzymał go wołając: nie wierz, ojczcie, to ja się dopuściłem tego przestępstwa, nie on!

Przez pewien czas sprzeczali się tak ze sobą pocziwi hracia, aż w końcu wzruszony tym widokiem ojciec zawołał:

— Straciłem wiernego psa, to prawda, ale skon jego dał mi poznać miłość braterską moich synów, przebaczam więc temu który zawinił.

Henryk Wernic.

OBOWIĄZEK.

I.

— Tak mi się nie chce brać do tego zadania, tak mi się nie chce! Niech mnie ciotunia dziś uwolni od niego! — prosiła Helenka, zarzucając rączki na szyję swej cioci, która była zarazem jej nauczycielką.

— Nie mogę tego zrobić Helenko, niema rady; zbierz odwagę... raz, dwa trzy — i ukończysz zadanie.

— Kiedy to stylowe, trzeba myśleć, a mnie tak strasznie się dzieć nie chce zastanawiać, że nie potrafię nic napisać — prosiła dziewczynka prawie z płaczem. — Mogłaby to cioteczka dla mnie zrobić i uwolnić mnie.

— Nie, Helenko. Wiem że ci przykro bardzo za brać się do lekcji, widzę, że masz łzy w oczach i ręczę ci, że gdybym tylko mogła, tobym ci oszczędziła przykrości; wiesz przecie, że cię kocham, mój ty leniuszku, a jednak nie mogę cię uwolnić.

— A któż cioci zabrania?

— Kto? *Obowiązek* — poważnie odrzekła ciotka.

— O! Obowiązek! Zawsze mi o nim mówią; nudny ten obowiązek; taki szorstki, taki niedelikatny, na nic nie zważa; choćby tu umierał człowiek, to każą iść do lekcji, bo tak obowiązek każe! Och! nienawidzę go!

Ciocia się uśmiechnęła.

— Tak znów surowym nie jest; wiesz dobrze, że gdy jesteś chorą, nie zmuszają cię do pracy. Może cię co boli?

— Nie! — ze smutkiem rzekła Hela.

— W takim razie, jakaż racja zaniedbania lekcji? To tylko, że się nie chce; a to nie dosyć. Obowiązku rzeczywiście słuchać trzeba. Każdy człowiek na świecie musi pracować dla drugich i dla siebie; musi rozwijać w sobie zdolności, kształcić umysł, kształcić serce, nabywać coraz większej wartości. Kto tego nie czyni, zaniedbuje obowiązek; nie słucha Bożego rozkazu.

Dla tego to ja, moja Helenko, nie mogę ci powiedzieć w tej chwili: idź się bawić! chociaż z pewnością przyjemniejby mi to było, niż kazać ci iść do lekcji. Ty musisz wypełnić swój obowiązek i zwykłe lekcje odrobić; ja muszę wypełnić mój, to jest... nie ustąpić twoim prośbom. No, jeśli mnie choć trochę kochasz, to nie zmusisz mnie do gniewu. Pocałuj mnie i do pracy.

Hela była bardzo dobrym dzieckiem, rozumiała i czuła prawdę słów cioci, widziała też, że jej opór na prawdę jest cioci przykry, więc nie rzekła już ani słowa, tylko powoli poszła do stolika, wyszukała zeszyt, i ze staraniem wzięła się do pracy, chociaż łzy jak groch cicho spływały jej po policzkach. Po godzinie przyniosła zeszyt ciotce, która przejrzawszy zadanie, uściskała serdecznie dziewczynkę.

— Widzisz Helenko, czyż ci nie miło, że nie opuściłaś obowiązków?

— Ach ciociu! żeby to nie było tak przykro! Dlaczego to obowiązek każe robić przykre rzeczy, i pracować wtedy gdy się nam nie chce; ja zawsze myślę, że obowiązek nie powinien być tak surowym!

— O! Helenko; przekonasz się później, że najszczęśliwsi są ci, co potrafią wcześniej słuchać tego przykrego obowiązku; naucz się go słuchać, póki dzieckiem jesteś, bo potem będzie on daleko surowszy, daleko przykrzejszy, a mimo to nieubłagany!

— Wierzę cioteczce i będę słuchała kiedy ciocia tak każe; ale ja zawsze powtarzam że nie lubię się przymuszać.

Mar.

Z POBYTU U WÓD.

Dopiero szósta wybiła na Tręczyńskim *) kąpielowym zegarze, a ruch między leczącymi już się rozpoczął. Ku łazienkom i od łazienek przechodzili panowie i panie, po większej części nie młodzi, skuleni lub zgarbieni od cierpienia. Niektórzy jechali w wózkach, bo o własnych siłach poruszać się nie mogli. Wszyscy, jakby wśród zimy, otuleni ciepłymi szalami, w wysokich sukienkach berlaczach, mimo, że jasne słońce wzbijało się nad wysokimi górami, a najłżejszy powiew wiatru nie poruszał czystego, górskiego powietrza.

Z ładnego domku, zwanego Zemanyi Villa, wyszła niemłoda już osoba, i zamknawszy ostrożnie drzwi od mieszkania, by nie obudzić śpiącej jeszcze córki, udała się do Cinna-Bad. Lecz niebawem do tychże drzwi mocno zapukano. Marysia zerwała się i usiadła na łóżku.

— Niech będzie pochwalony — dał się słyszeć głos w progu — a czy panoczka nie kupią mleka?

Kobieta wiejska, w białe czyste płótno ubrana, wyciągała ku niej napełnioną mlekiem butelkę.

— Nie, nie kupię. Idźcie z Bogiem. Oni miłosierni nie mają nademną. Tak mi się chce spać okropnie — i przystaniając ręką oczy przed rażącym słonecznym światłem, Marysia przytuliła głowę do poduszki i już spała w najlepsze, gdy po chwili znów się drzwi uchyliły i taż sama kobieta z tą samą butelką w ręku ukazała się, a głosem, w którym brzmiało silne przekonanie, że poprzednia odmowa Marysi pochodziła tylko z nieporozumienia:

— Panoczku — mówiła — to jest smętanka.

— Ależ idźcie sobie, nie naprzykrzajcie się od samego świtu — zawołała zniecierpliwiona panienska i wstała, by drzwi na klucz zamknąć za odchodzącą. Wtedy, spostrzegłszy, że matka jej poszła już do kąpieli, ziewnęła parę razy, zabrała się do ubierania a pani Wołęńska wróciwszy zastała już przyrządzone śniadanie i córkę gotową do wyjścia.

— Jak to dobrze — rzekła, całując ją, matka — tak mi żal zawsze poranków, które przesypiasz. Tu szkoda każdej chwili, którą się pod dachem spędza. W ogrodzie gra już cygańska orkiestra, słyszałam właśnie tego ślicznego czardasza, który ci się tak podoba. Mnóstwo osób chodzi, wody pije, rozmawiając wesoło. Już nawet jakieś młode towarzystwo pnie się po górach, szukając poziomek lub fiołków.

*) Tręczyn jest to miejsce kąpielowe na Węgrzech, gdzie chorzy, zwłaszcza na cierpienia reumatyczne, doznają ulgi.

— A zamiast poziomek znajdują pół tuzina obdartych dzieciaków, wołających na cały głos. Panoczku, dajcie grajcar, lub tę brudną cygankę, która, zabiegłszy drogę, klęka na piasku i za kolana chwyta. Oj moja mammo, prawdę mówią, że nic na świecie nie jest bez ale, że nawet i na słońcu są plamy. Otóż plamy tego pięknego kraju, to ten lud uprzykrzony i żebraczy, który od rana budzi, trapi i na każdym kroku nas prześladowuje; psuje niespodziewanem pojawieniem się najweselszą zabawę, szpeci najpiękniejszy krajobraz.

Pani Woleńska z niezadowolaniem ruszyła ramionami.

— Jak ja nie lubię, gdy takie rzeczy mówisz. Cóż ci zawinili ci biedni ludzie? Ubodzy są, bo kraj ich nieurodzajny, choć malowniczy. Mają góry, skały i piękne widoki, ale zboża nie mają. Za zarobione lub wyżebrane pieniądze w czasie kąpielowym, muszą na cały rok zaopatrzyć się w żywność. Zresztą, cóż oni ci szkodzą? Wprawdzie wszędzie ich pełno, ale nawet mieszkań przed nimi zamykać nie potrzebujemy, bo choć proszą, sami nic nie biorą.

— Tak się to mówi, mameczko, ale ja nie bardzo wierzę. Niektórzy z nich wyglądają na prawdziwych opryszków. Z pewnością tylko okazji szukają. Pamiętasz matko tego ogromnego górala, Janosa, którego oczy czarne świecą srodze z pod najeżonych brwi, a usta mają tak dziki wyraz, kiedy, chcąc rozczulić przechodniów, przemawia do nich słodko. Cały dzień mi się psuje, gdy spotkam tego człowieka. A nawet śniło mi się raz, że stoi pod naszym oknem.

— Dziecinną jesteś i uprzedzoną. Nie wiem jak cię przekonać, więc dajmy pokój tej rozmowie, zabierajmy nasze książki i idźmy wyszukać sobie wygodnego miejsca do czytania. Dopiero na obiad wrócimy do domu.

Przezorna Marynia zabrała z sobą, prócz książek, pozostałe od śniadania ciastka, butelkę lekkiego wina i kubek szklany, bo, po zaprawnych papryką potrawach, pragnienie dawało się we znaki, ale za to pośród gór często wytryskiwało źródło wybornej wody.

Panie nie zatrzymały się w alejach ogrodu, przepelnionych spacerującymi, tylko podążyły ku dalszemu od miasteczka, mniej uczęszczanym ścieżkom, prowadzącym przez las na wysokie skaliste góry. Upatrzawszy wygodną ławkę pod cieniem olbrzymiej sosny, pani Woleńska, cierpiąca na nogi, już wyżej iść nie chciała. Zresztą tu było tak spokojnie i zacisznie, jak gdyby się było głęboko w lesie, choć zaledwie o kilkadziesiąt kroków wrzał cały ruch ożywionego towarzystwa, a ciepły wietrzyk donosił głosy do uszu naszych czytelniczek.

Po godzinie czytania Marysia zamknęła książkę.

— Skończyłam — zawołała z żalem — szkoda! słiczna powieść. Cnota i wytrwałość zostały wynagrodzone, obłuda ukarana. A ty, mameczko, pewno już także skończysz niedługo i pójdziemy na obiad, bo to już musi być pora obiadowa.

Pani Woleńska spojrzała na zegarek.

— Ja nie prędko czytać przestanę i pora obiadu jeszcze daleka. Ale kiedy nie masz nic do roboty, to patrz na te piękne góry, które się piętrzą naprzeciw nas,

na rzekę płynącą wśród doliny, na błyszczącą wśród zieleni sadzawkę i na ten rój dzieci, bawiących się na całej przestrzeni, podobnych do różnobarwnych motylików. Pewnie nie znudzisz się wcale.

— O nie mammo, ja się nigdy nie nudzę. Mam nawet na teraz ważne zajęcie; brakuje mi jeszcze do mego zielnika, wiele roślin, które tu zbierać miałam; zabiorę się zaraz do ich szukania.

I lekka jak sarna, nie zważając na silny upał, naprzód blisko matki, później coraz głębiej w las się zapuszczając, zaczęła swoje poszukiwania. Już sporą wiązkę rozmaitych roślin trzymała w ręku, gdy, idąc nieznaną sobie dotąd ścieżką, znalazła się nad głębokim parowem.

Na dnie jego płynęły przezroczyste wody górskiego potoku, widać było małe, szybko mknące za jego biegiem rybki. Brzegi usłane były kwiatami i poziomkami, a niedaleko strumień, spotkawszy jakąś przeszkodę, szumiał, pieniał się i w miliardy brylantowych cząstek rozprysnięty, skrapiał szmaragdową trawę.

— Szkoda, że mama nie może wychodzić tak daleko; jakby dobrze było obracać to miejsce na nasze codzienne wycieczki. I usiadłszy na brzegu parowu, a wiedząc, że matka nic przed obiadem nie jada, zaczęła spożywać przyniesione zapasy.

Wtem usłyszała na górze za sobą jakieś kroki ciężkie i powolne i następujące po sobie stukania o skałę.

Obejrzała się niespokojnie i w jednej chwili z nieopisaną trwogą, zebrawszy wyjęte z koszyka przedmioty, uciekać zaczęła.

Przyczyną tej ucieczki było, że ujrzała o kilkanaście kroków za sobą, schodzącego tą samą ścieżką, owego tak jej wstrętnego górala. I w istocie nie było to miłe wśród samotności leśnej spotkanie.

Wysoki, czarny, z obrosłą twarzą, z najeżonymi brwiami, oparty na grubym sękatym kijku, szedł on wprost ku Maryni.

Marynia blada ze strachu czuła, że nogi jej sztywnieją, ale i to czuła, że jednak nie powinna okazywać wrażeń, dowodzącego obawy. Nie biegła więc, lecz szybszym od górala krokiem zaczęła schodzić z góry, kierując się w stronę, gdzie zostawiła matkę. Z początku jednakową była przestrzeń, dzieląca ją od Janosa, lecz po chwili spostrzegła z wzrastającym przerażeniem, że ta odległość się zmniejsza, że uderzenie laski coraz częstsze jest i bliższe, a głos ochryple woła za nią: „Panoczku, panoczku, poczekajcie”.

Tego już było za wiele dla biednej Maryni. W przestraszu bez granic zaczęła szybko zbiegać i na tyle tylko była przytomną, że wstrzymała się od krzyku i wołania na pomoc, czem byłaby bardzo chorą matkę przeraziła.

Nagle odetchnęła swobodniej; zdawało się jej, że już uszła pogoni, bo gdy skręciła na lewo, dobrze zapamiętawszy drogę, jej nieprzyjaciel poszedł wprost przed siebie, zapewne nie mogąc zatrzymać się w rozpędzie. Ale radość ta krótko trwała. Janos lepiej znający góry te, wśród których się urodził, przebył prostą drogą przestrzeń, którą ona okrążyła, i nagle z załomu skały zbiegł jej drogę.

Homonimu: W a z a.

Łamigłówki sylabowej:

1. Minos. 2. Indra. 3. Dawid. 4. Ali. 5. Selim.
Midas.

Skrzynka do listów.

O, **Fasolko**, jakież to skromniutki pseudonym! ale wolę go niż te wyszukane i pretensjonalne. Nie wiem, droga moja, jakim się to stało sposobem, żeś na swój list nie otrzymała odpowiedzi, chyba mnie twój nie doszedł. Zazdrościsz mieszkającym w mieście? Może w zimie tylko, bo pobyt w mieście podczas lata nie należy do przyjemności. Bardzo wielką sprawiłaś mi przyjemność nazywając mnie po imieniu i proszę cię, częstymi listami dawaj mi do wód życzliwego usposobienia dla waszej, zawsze wam wiernej.

Gotąbki.

Bardzo ci wdzięczny, **Cyklisto z nad P.** że o mnie pamiętasz; wiesz cię dobrego „świadectwa”; u nas się ono nazywa *cenzurą* i gdy same zawiera *celujące*, to człowiek aż rośnie z radości. Nie chwałę się, mogłem .. urosnąć trochę. Urosłem też o jedną klasę wyżej, co rodzice moi uważają za dostateczną nagrodę całorocznej pracy.

Z **Marynarzem** kochanym podzielić się bardzo chętnie skromnymi wiadomościami mojemi. Miałeś rację utrzymując, że podróż, której zawdzięczamy odkrycie Ameryki nie była pierwszą podróżą Kolumba. 3-go sierpnia 1492 r. wypłynął z portu Palos do wysp Kanaryjskich, gdzie zabawił czas jakiś dla reperacji okrętu. Opuściwszy je, przez 33 dni nie widział wcale ziemi, aż dopiero w nocy z 11 na 12 października rozległ się na okręcie okrzyk: „Ziemia!” Była to Kuba, którą z początku wzięli żeglarze za półwysp azjatycki. W początku grudnia napotkali wyspę Haiti, którą Kolumb nazwał Hispaniola i objął ją w posiadanie w imieniu króla hiszpańskiego. Wracając do Europy zostawił tam trzydziestu ośmiu ludzi z załogi, a zabrał dziesięciu krajowców; z tych jeden zmarł podczas przeprawy, trzech pozostało chorych w Palos, sześciu zaś przedstawił królowi i królowej w Barcelonie. Przyjęty z wielkimi honorami, otrzymał tytuł admirała, brat zaś jego Bartłomiej Kolumb został mianowany wielkorządcą Hispanioli. Taką była pierwsza podróż Krzysztofa Kolumba, przedsięwzięta w celu dostania się do Azji *od zachodu*. Długi bowiem czas mniemano, (opierając się na zdaniu autorów starożytnych,) że Azja niebardzo jest oddaloną od zachodniej strony Europy i Krzysztof Kolumb podzielał to mniemanie wraz z innymi. Wierzę, mój drogi, że cię żywo zajmują wszystkie szczegóły o tym wielkim mężu; ja także z ciekawością czytam o nim wszystko. Dłoń twą ściska przyjaźnie.

Józio.

MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

przyjmuje uczennice tak miejscowe jak przychodzące na warunkach bardzo przystępnych. Rok szkolny 1892/93 rozpocznie się 1/13 Września.

Marynia stanęła jak wryta.

Serce jej bić przestało ze strachu i długo zrozumieć nie mogła, czego chce od niej ten człowiek, co za przedmiot jej podaje wyciągniętą żylastą ręką.

— Panoczku — mówił, trochę drwiącym głosem — zostawiliście to pod drzewem; to wasze być musi — i podawał wybladłej panience portmonetkę z masy perłowej, w której się znajdował cały jej majątek, który ona, uciekając, ponad parowem zostawiła.

Więc ten biedny stary człowiek dla tego za nią tak gonił, żeby oddać pieniądze, które tak łatwo mógł sobie przywłaszczyć? Więc on, choć nędzarz ubogi, nietylko krzywdy zrobić jej nie chciał, lecz owszem przysługę wyświadczyć?

Rumieńcem okryła się twarz Maryni, ale po chwili prawdziwie szczerze rozrzewnienie zajęło miejsce wstydu. Z oczyma pełnemi łez podziękowała góralowi i prosiła, by chciał z nią razem zejść do matki, żeby jej całe zdarzenie opowiedzieć.

Jakżeż się zadziwiła pani Woleńska, gdy ujrzała córkę swą, idącą obok tego, którego postrachem swym i udręczeniem nazywała, rozmawiającą z nim z życzliwością a nawet szacunkiem.

Dowiedziawszy się o całym zdarzeniu, dała pocztu Janosowi sowitą zapomogę. On ani się spodziewał, ani rozumiał nawet, żeby to miało być znaleźnem, nagrodą za czyn uczciwy.

Gdy skutkiem zbawiennego działania wód, pani Woleńska czuła się o wiele zdrowszą, panie nasze obrały sobie za miejsce spacerów dość daleko za lasem położoną chatę Janosa, poznały jego drobne dzieci i chorą żonę, a Marynia spostrzegła, że bardziej od pięknych widoków i od rzadkich roślin zajmującym, jest poznawanie obyczajów i serc ludzkich, i że górale tręczyńscy, choć czasem uprzykrzeni, są uczciwym i godnym współczucia ludem.

A. Z.

ZAGADKA.

ułożyła R. K. dla Stasia Podwys.

Sztywny tułów, jedna noga,
Umie skarby strzedz od wroga,
I chociaż swe kształty zmienia,
Służy zawsze do strzeżenia.
Gdy za głowę go powieszają,
Z większą, mniejszą bratnią rzeszą,
Jak dzwoneczek wtenczas dzwoni,
W rozbawionych dziątek dłoni.

ZADANIE KONIKOWE.

pi	do	ten	nie
je	zum	do	Kto
je	je	ty	w ro